

# Puszczyk



STEFAN GRABIŃSKI

W POMROKACH WIARY

# Puszczyk

*Matce mojej w czci i ukochaniu poświęcam*

Otom jest stary włóczęga, sterany pielgrzym bezdomny. Wiosenne świty młodości mojej pogasły dawno; dziś sklepi się nad osędziałą, zwichrzoną wiatrami drożnymi głową szary zachód odarty z pokrwawia<sup>1</sup> słońca, co przerażone starczym chłodem skryło swe ognie gdzieś za zwałami burych chmurzysk. Czasem tylko wyśliźnie się przez szczeliny duszy namiętny płomień przeszłości i twarz mi szkarłatem okraśli; wtedy i mnie starego zdziwi niewczesny, i sam zawstydzony gaśnie prędzej jeszcze, niż rozbłysnął: uśmiechnę się zjadliwie i idę dalej... Dalej, naprzód w tę dal bez końca, co sinym rąbkiem się znaczy; idę po polach rozłogich, jarach przepastnych i debrach, strzępy mych szat zostawiając po krzaczach przydrożnych. Wiatr porywa je i roznosi spuściznę po nędzarzu hen, hen po świecie. Przede mną płożą się w kolejnej przemianie niwy ludzkie, bory i lasy, pstrzą chaty wiejskie, stożą wieżycy miast; lśni się, migoce, szaleje i płacze cały ten wielki, boży świat.... A ja wciąż w drodze — jak pies bezpański odtrącony od domowego ogniska wałęsam się po rozdrożach....

Krzyżowe drogi! Rozstaje!... Wicher się, tułacz, po was kołysz, wygrywając mi jesienią piosenkę życia. Czasem mnie spije ten luty<sup>2</sup> śpiew, a wtedy idę przed siebie w spierzowej zadumie, nic nie widząc, a on mi zimnym tchem lży ociera, co skądś nagle zebrały się pod obrzękłą powieką...

Stary, dziki włóczęga...

Podłe życie miałem — podłe i nędzne! Ludzie mnie znienawidzili — jam im przekleństwo piastował. I tak nienawiść wielka i ból wezbrały mi w sercu, że straszny się stałem szczęściu ludzkiemu, sam tułacz nieszczęsny.

— Dzikie, straszne masz oczy — mówili mi ludzie od dziecka. Tak straszne mi oczy dała matka-natura. Bo oczy te miały przekłą siłę: obudzały przyczajoną w zakątkach duszy bliźniego świadomość rychłego nieszczęścia; oczy moje rozpętywały uśpione w pieleszach duszy przecucie. Jak hiena wietrzy po cmentarnych ugorach padło i trupy, tak ja wyczuwałem z dala ofiary złej doli; wiedziony magnetycznym pociąganiem zbliżałem się do tych wyklętych ziemi, by ich już odtąd nie opuścić, aż się spełniło to, co mi demon jakiś zwierzył w głębi duszy. Sam przy tym cierpiałem jak potępieniec. Była to jakby wielka choroba: nie miałem chwili wytchnienia, męczyłem siebie i owych nieszczęsnych, wokoło których krążyłem jak sęp krwiożerczy, hipnotyzując swe ofiary pożądliwym okiem; zataczałem kręgi coraz bliższe i bliższe, pasąc oczy ich bezdennym strachem; byłem nieodłącznym towarzyszem w nocy i we dnie, nawet we śnie panowałem nad nimi wszechwładnie w upiornych marzeniach... Aż się dokonało... przecucie przyoblekło w rzeczywistość, aż padł grom... Wtedy odchodziłem... innych uświadamiać. Dla tego jest przeklęty od ludzi i ziemi i znamię Kaina czoło pali. Sam zatraceniec — innym zatrąć i nieszczęście głoszę.

Lepiej ty mnie, ziemio wyrodna, pochłoń, bo wiedz, żeś potwora pomiotła<sup>3</sup>!...

Lepiej ty mnie, wodo jasna, zatop, bo wiedz, że upiora krzepisz!

Lepiej ty mnie, wicherze polny, ponieś w przepaść, bo wiedz, że wyrodka chłodzisz!

<sup>1</sup> *pokrwawie* — krwawej barwy blask (tu: zachodzącego słońca). [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *luty* (daw.) — surowy. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *pomiotła* — tu: urodziła; por. *pomiot*: urodzone przez samicę małce. [przypis edytorski]

Piosnkę nucisz, piosnkę, starą piosnkę — dumę. Błąka się wicher po polu — hej!  
Tumany stepowe, wichuro zaciekla!.. W drogę, w przestwór, w dal!...

Był dżdżysty wieczór jesienny. Niebo nasunęło stalową przyłbicę chmur, tylko od czasu do czasu wyzierając sinym, osowiałym okiem spod odwinętych wiatrem powiek. Panował obojętny ton, tak przygnębiająco nijaki i jednostajny, jak szara, rozziwiana nuda. Drobną deszczą zaczął bezustannie; po badyłach i sztywnych prętach rzęził wiatr, wpadał w poślizg już pierzeję topól wzdłuż gościńca, zawodząc boleśnie. Z przeciągłym sykiem wrzynał się w nastroszone ich wirchy i za każdym razem wyczesywał całe garście popstrzonych czerwonymi cętkami liści; znów porywał je, skręcał w tuleje lub, opadłe na ziemię, pędził długim, szeleszczącym szeregiem po trasie. Przydrożny wiatrak chwycił go poza topolami na czarne ramiona manekina i poszedł w taniec: zakręcił, zawrócił warczącego młynca i stanął... Wiatr ześliznął się lekko po skrzydłach... wypadł z czarciego młyna, pocałował szczerzącym drapieżną szczęką rżyskiem i zapadł w jarze: przycichło...

Zmokły, przeziębły szedłem dalej. Z lewej krzyż omszały się kłonił; na krzyżu kruk. — Zakrakał, zakrakał i odleciał... Minąłem krzyż. Na przełaj przez pola włókł się wychudły pies; zapadłych boków zwierzęcia omal że nie przebijały twardo sterczące żebra. Żał mi się zrobiło psiaka: zbliżyłem się, by mu rzucić głąń<sup>4</sup> czerstwego chleba, ale w tej chwili strach dziki odepchnął mnie w tył: z zaczerwienionych gorączką ślepiów bestii ziała wściekłość. Odszedłem na bok.

Popędził dalej każąc drogę krwawą pianą.

— Wściekły pies — mruknąłem przez zęby, odruchowo chwytając za pierwszy spotkany kamień.

— Głupcze — zasyczało coś w odpowiedź — głupcze, wszakże to twój kum, brat serdeczny.

Zziąbłem teraz tak, że z trudnością podnosiłem zgrabiałe stopy. Mijając małą dąbrowę, zauważyłem pomiędzy odartymi z kory pniami na polanie gromadkę ludzi przy jarzącym się ognisku. Mleczny, ciężki dym wysuwał białe ssawki spoza pęków chruścików, uschłych gałęzi i liści składających watę i, pełzając miękkim ciałem, lizał ziemię; omotywał węzowym splotem dębczaki, kłębił się w wykrotach, pieścił drapieżny dzięk tarniny i ostów.

Poprosiłem ludzi grzejących się o miejsce przy ogniu. Byli obdarci nie gorzej ode mnie i wyglądali podejrzanie. Zaczepieni spojrzeli na mnie ciekawie z niedobrym błyskiem w zuchwałych oczach, ale spostrzegłszy nędzarza, uśmiechnęli się drwiąco i z lekceważeniem. Starszy mężczyzna o wyrazie ponurym wycodził z grymasem:

— Nie ma miejsca. Poszedł won do biesa!

Zawróciłem na drogę. Przeciągły śmiech szyderstwa, urągliwy, kłujący szedł mi w tropy i długo jeszcze, długo towarzyszył zjadliwym chichotem.

Tymczasem zrobiło się jeszcze zimniej. Deszcz zlewał całe upusty na grząską od wilgoci ziemię; długie, łzawe struny rozpięły się między zasępionym sklepem niebios a splakаныmi polami; wiatr rwał je co chwila, rozpylając w drobne krople i siekł mokrymi warkoczami dżdżu przydrożne drzewa. Pociemniało gwałtownie: ponury zmierzch jesienny kroczył szybko z przesłoniętą potworną dłonią licem po rozszlochanych świecie. Tylko tam daleko, tuż przy poziomie krwawił się zachód; ale i ten zakryły mi wrychle zsiniałe kotary chmur, zesuując się szczerlnie nad purpurowym misterium słońca.

Z uczuciem ulgi zawróciłem z gościńca na boczną ścieżynę, by dotrzeć do wpół rozdartego kłeciska, jakie się ukazało na uboczu. Zrazu czerniały mi tylko niewyraźne zarysy czegoś nikłego i zgarbionego. Z wolna kontur uwydatnił się silniej, kształty wyodrębniły i z mroków nocy wychynęła stara, na poły rozwalona cegielnia. Starucha pochyliła się niziutko, niziutko — tak, że mocno nadniszczony okap z gontów niemal dosięgał spróchniałym skrzydłem ziemi. — Naokół grunt był udeptany i twardy. Obchodząc cegielnię ze wszech stron szukałem dogodnego miejsca na nocleg.

Pies, Choroba, Błądzenie

<sup>4</sup>głąń — glon, glonek; kromkę. [przypis edytorski]

Na razie był przynajmniej dach nad głową — ale co za dach! Raczej przetak<sup>5</sup>; znać<sup>6</sup>, długoletnie ulewy nadgryzły gonty i tarcice, które podziurawione w rozpaczliwy sposób przepuszczały deszczówkę. Na ziemi wałęsały się miejscami odmioty cegły, szczyrzyły potłuczone czerepy, szczybiły porowate żużle, odłamki szkła i pordzewiałego żelaziwa. W środku niewielka bałda przyszczyła się rudym tonem cegły zmieszanej z innymi odpadkami.

Postanowiłem urządzić się możliwie najwygodniej. Parę przegniłych dylów poprzecznych grożących obsunięciem za lada silniejszym tchem wiatru wyrwałem z dziurawej posowy<sup>7</sup>; padając roztrzaskiwały się w drobne szczapy. Miałem tedy wyborne paliwo, przy czym zbyteczna okazała się hubka. Należało jeszcze zabezpieczyć się od coraz natarczywej wichury. Tu i ówdzie pozostałe odpryski cegieł i opodał nieznaną ręką nagromadzone kamienie posłużyły mi na wybudowanie ścianki ochronnej, opartej o jeden ze słupców, które podpięrały szatro<sup>8</sup>. Podobnie udało mi się utworzyć małe palenisko, czy raczej dół wyłożony po krajach cegłą i szutrem. Przy pomocy nieodstępnego krzemienia zażęgłem ognisko. Zakryty jako tako przed srożącą się szarugą, skurczony, zasuty<sup>9</sup> w łachmany grzałem się. Gdzieś odgrzebana lecha<sup>10</sup> suchego chleba złożyła się na wieczerzę. Żując z trudnością, wpilem oczy w drgający, niespokojny płomień... Dziwne, jak ogień umie przykuwać do siebie! Można tak patrzeć godzinami bez myśli, bez ruchu. Podobny czar wywiera woda w żywiołowej postaci wielkich mas. Pamiętam, jak raz, siedząc nad większą rzeką, nie mogłem oczu oderwać od cicho koczących się fal; wzrok włócił się po nurtach i płynął razem. Uczuwałem gwałtowną chęć oddania się wodzie: słodkiego odpoczynku w łóżu rodzimym.

Innym razem zasnąłem ukołyszany zdradliwie chybotem zmierzwionych srebrną posoką<sup>11</sup> bałwanów. Wtedy dziwne sny miałem — marzenia, których podobno zwykły sen nie użycza. Miałem wrażenie czegoś nieokreślonego, ogromnie wiotkiego, co przenikało wszechświat, przepływało całą mą istotą, łącząc ją ściśle z olbrzymim środowiskiem ziemi. Gibkie, prężne fale ciekły przez ciało, a w nich jakieś ruchy subtelne jak myśl, elastyczne jak piłka, mżyły.... Odczuwałem je, lecz nie zmysłami — te spały snem żelaznym, nieprzepartym — odczuwałem całym sobą, najdrobniejszymi włóknami nerwów, ich splotem tysiączewzłowym rozpiętym w ciele.

Widziałem rzeczy dziwne, niepojęte: najskrytsze drgnienia świata nie uszły mej śledczej uwagi, przepożęta jasność rozświetlała przede mną kryjówki natury, ostępy niezbadane, do których może nigdy współbracia moi nie dotrą; widziałem z bystrością ostrowidza fatalny łańcuch przyczyn wstecz; ostrożnie, z nieubłaganą wynikliwością wyciągałem wnioski potworne, a jednak (niestety!) prawdziwe!

I rozumiałem! Ja — człowiek — wiedziałem!

A wszystko mi było obecne: i przeszłość, i obłędna przyszłość — jedna wielka ciągłość bez końca — zawrotne, błędne, groźne koło... I byłem, i jestem, i będę!...

A ciche fale były wciąż miękko o zachwycone ciało, drgały, krzyżowały się, przenikały... A zmysły spały, a rozum (he, he, intelekt, ta mądra bestia) — drzemał spity, bezsilny kat!...

W takich to chwilach wychylało też ohydną głowę z pomroki przyszłości i ono — to przekłete, nienasycone... nieszczęście... i wbijało mi swe szpony niezatartym śladem. — Gdzie? — Nie wiem: przepajało całe jestestwo. I tylko ono, tylko jego świadomość i pamięć pozostawała po przebudzeniu ze snu czy z zapamiętania. Lecz wtedy nie dawało mi spokoju, dusiło zmorą, dopóki nie spełniło się w upatrzonej ofierze. A mnie przypadła rola pośrednika: uświadamiałem... Klątwa i dopust na mnie!... Skąd i czemu!? — Ot tam drzewa gwarzą szumnie, tam wicher skowyczy — spytam, może wiedzą...

Ogień trzeszczał i syczał, wyciskając pienisty sok z śliniącego się drzewa. Spopielające drewnienka obsuwały się z szelestem na obie strony, wirował perz, unosząc się ze zgliszczy.

Ogień, Woda, Wzrok, Siła,  
Czary

Natura, Wiedza, Los, Sen,  
Obraz świata

Prorok

<sup>5</sup>przetak — rodzaj sita. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>znać — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>posowa (daw., gw.) — sufit. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>szatro — [przypis edytorski]

<sup>9</sup>zasuty — [przypis edytorski]

<sup>10</sup>lecha — [przypis edytorski]

<sup>11</sup>posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

Dziwaczne cienie majaczyły po dylach, rozsiadały się po ceglach; długie, kosmate łapy sięgały drapieźnie po coś, wyciągały chwytne kłykcie, coraz chudsze, nerwowe — dalej... wyżej... cofnęły się. Jakiś stwór poruszał sennie potwornych rozmiarów łbem tam i na powrót, nudnie, jednostajnie... przeszedł w rodzaj koła rozpędowego: szalony obieg raz! drugi!... pękły dzwona... Wiotkie, wrażliwe macki rozstawiły zdradliwą siatkę cieniów: czyhają... jest! Zamroczyło coś, zamżyło, znikło... Tam, tam nad wodą, nad zieloną... brr... co za cudna główka... rozplecionych włosów czar — sine, mokre oczy... uśmiech skraślił ust korale... dziecię u łona... Co?! Boże mój!... W topiel!... Oboje!!...

Oprzytomniałem. — Tuż nade mną pochylony mężczyzna wpatrywał się uporczywie w rysy mej twarzy; niespokojne oczy nieznajomego wrzynały się we mnie z niepojętą natarczywością.

— Przepraszam — szepnął, uchylając nieco podróznego kaszketu, z którego ściekała woda na płaszcz gumowy — zdaje mi się, że przerwałem sen.

Na razie nie zdołałem skupić należycie myśli na odpowiedź.

— Widzi pan — ciągnął niezrażony tym dalej — urządziłem się diablo niepraktycznie. Zawezwany do komisji sądowej jako rzeczoznawca wyjechałem razem z wszystkimi na miejsce zbrodni. Uważa pan: pobito śmiertelnie chłopą, zwyczajnie, w karczmie, przy niedzieli. Ot, bydlę! Czaszka przez pół na potylicy... kołem<sup>12</sup> z płotu.

Otóż po załatwieniu tej arcymilej czynności zostało mi trochę czasu przed powrotem. Podobno sędzia miał przeprowadzić pewne formalności z sołtysem. Poszedłem tedy w las. Znasz pan te strony — piękne bory, nieprawdaż? No i nie uwierzy mi pan, zabłąkałem się najzupełniej, bez wyjścia. Tutejsi ludzie mówią, że w lasach oman chwyta... ha, ha! Toteż i mnie lichy jakiś zapędziło w głębie. Było już ciemno i deszcz siekł porządnie, gdy w końcu wydostałem się krętymi manowcami na gościniec. Naturalnie za późno już było i za tęga zlewa, żebym, spostrzegłszy pańskie światelko, nie miał mu złożyć mego uszanowania... wszak nie wyrzucisz mnie pan z przedziału?...

— Ależ samo przez się zrozumiałe, proszę bardzo — odparłem z widocznym wysiłkiem. — Zresztą, przyznam się panu, doktorze, że go tu oczekiwałem.

Spojrzał mi w oczy z wyrazem zdziwienia. Po chwili, uśmiechając się pobłażliwie, zauważył:

— Zdaje mi się, nie możesz pan opanować resztek snu, w jakim go zastałem. Swoją drogą niezbyt wesoło musiałeś marzyć. Mogłem chwilę studiować jego twarz: zrazu nieokreślony uśmiech błędził koło ust. O! Taki właśnie, jak teraz — potem błysk zachwyty i...

— No skończę już raz pan!...

— Krzyknąłeś...

— Ja krzyknąłem!? Złudzenie! Wszystko złudzenie! Ja wcale nie spałem...

— To dziwne... chociaż... być może. Oczu nie zamknąłeś pan przez cały czas ani na chwilę. Tylko że wyglądało to tak, jakbyś mimo to nie spostrzegał mojej obecności: był to szklany, tępy wyraz. Powiedz mi pan: nie doznajesz czasami...

— Doktorze! Zostawmy to, proszę. Lepiej, myślę, zrobisz, zdejmując przemoczony płaszcz i rozwieszając nad ogniem.

— Niech i tak będzie — odparł trochę zmieszany, zdejmując wierzchnią zarzutkę, którą następnie rozpostarł między łatami pod okapem. Dopiero teraz ujrzałem dokładnie młodego mężczyznę o twarzy pięknej, okolonej bujnym, ciemnym zarostem. Czarne, błyszczące wewnętrzną energią oko zdradzało odwagę i stanowczość. Wytworne, lecz bez wyszukania ubranie uwydatniało silne i zgrabne kształty. Cała postać oddychała jędrną, niespożytą siłą młodości i szczęścia. Pogoda wyniosłego czoła i młody, zdrowy uśmiech przewijający się chwilami po wąskich ustach świadczyły o tym wymownie.

Patrząc nań, doznawałem najrozmaitszych uczuć. Jedno przecież wybiło się ponad ten nieokreślony chaos. Oto czułem, że coś mnie z tym człowiekiem wiąże: a taka niewidzialna, podziemna struna; ogarnęła mnie niepojęta ku niemu czułość i pieczołowitość. Było w tym coś niezwykle wstrętne: niby rozczulenie kata nad swą ofiarą. Chwilami ostry ból i litość dojmowały mi nieznośnie, wkrótce jednak ustępowały przed przemo-

<sup>12</sup>koł — kolek, drag. [przypis edytorski]

nym uczuciem pierwszym. Złośliwy kurcz wykrzywił mi twarz, fałdując ją w szatański, demoniczny półwyraz.

Doktor tymczasem przytyczył do ogniska krąglak i usiadł naprzeciw, rozgrzewając zsiniałe od chłodu ręce.

Chwilę zaległo przykre milczenie, tylko ogień skwierczał zgryźliwie, szepleniły szumowiny dREW... Wtem ciszę rozdarł przenikliwy głos puchacza, przewlekły, zawodzący skargą...

— Czas już! — przecwałowało mi przez mózg w szalonym pędzie i zapadło w pomrokach duszy.

— Doktorze — podjąłem ochryple, nieswojo — Pan wierzysz w przeczucia?

Zadrżał. Ciemne oko utkwilo niespokojnie w moim.

— Przeczucie?... Nie wiem... doprawdy, sam nigdy nic podobnego nie doznawałem. Są ludzie wrażliwi na takie rzeczy, inni nie reagują zupełnie.

— W takim razie trzeba im dopomóc — szepnąłem z piekielnym łyskiem oczu.

— Ależ pan oszalałeś! — zachnął się, powstając wzburzony. — Na co<sup>13</sup>!? Dlaczego?!

— Ha, ha! Wyborny pan sobie jesteś. Spytaj mimozy, czemu stula kwiaty na słotę, spytaj ptactwa, czemu spieszy, na wyraj? To nieprzewyciężona konieczność!

Doktor przemierzał cegielnię dużymi krokami, od czasu do czasu mnąc brodę wąską, niemal kobiecą ręką, na której średnim palcu połyskiwała w płomieniu ognia złota obrączka.

— A wiesz pan, co to zawiść bogów, zemsta nagle i druzgocząca jak piorun przy promiennej pogodzie dnia? Dziś jesteś silny i mocny szczęściem, ale to się mści w czwór-nasób! Pan nie masz prawa! Patrz tam, w zbutwiałe doły życia! Czy widzisz te zropiałe dziaśła, próchnicę ciał, zgniliznę dusz? Czy słyszysz chrobot skażonych głosów, rżenie piekłych gardzieli, poświst kończących krtani? Krew tłoczy się w arterie ciężko, ospale, żar praży trzewia, wnętrzności!

To wasze dzieło! To wy, wyście przechylili szali, wy podli, szczęśliwi!

Lecz my przywrócim równowagę, my, ludzie mroku, nieznani, my, dzieci nocy, za-  
ułków! Tak nam dopomóż Bóg!...

O, jak ty ją kochać musisz... błękitnych oczu toń, miękko-płowych włosów zwój... O, jakie ty spijasz czary ze szkarłatnych warg... rozszalałe tulisz łono do spalonych ust... i dziecię z nią masz... Ale drżij przed wielką wodą, co drzemie ustała: taka rudą zaciągnięta rdzą... Bo czasem zły urok w niej uśpiony lubi zwabić... w dół... a rankiem pod jutrznią poświatę bieleje opity wodą, wzdęty trup... perłowych zębów połysk lśni pośrodku nadgniłych warg... A może i nic nie wymiecie staw... tylko w białe, srebrem tkane noce cichy na topieli plusk... pomiędzy rokiciną świecą sperlone rosą oczy martwicy... obłe ciało łuską gra... dziecię tęskny szloch...

Przystąpił do mnie ze zmienioną straszliwie twarzą, blade, z kroplami zimnego potu na czole:

— Słuchaj, ty stary kruku, zwyrodniały żebraku — krzyknął z pianą wściekłości czy bezdenne strachu — mógłbym cię zabić jak psa!...

Odepchnąłem go lekko ręką:

— Ni ty, ni nikt z ludzi! Tacy jak ja są bezpieczni przed zabójstwem. Bo należę, he, he!... No tak, do wybrańców ziemi, do wyklętych; bo na mnie swój znak położył Wielki Nieznajomy i nikt mnie tknąć nie może. „Bo kto by podniósł rękę na Kaina, w siedmiokroć ukaran będzie”. Tu tylko, w piersi piekło wre, tu szarpie wciąż krwi chciwy sęp. I w tym cała klątwa tkwi!... A teraz odejdz stąd!... Już czas. Temu czoła nie stawisz. Tu większa władza moc: nie zdzierżysz. Może obaczmy się wkrótce...

Władczym ruchem wskazałem mu drogę.

Odszedł...

Wwiercając wzrok w czeluście nocy, w których zginął, słyszałem długo jeszcze, jak po drodze potykał się, podnosił, ciężko włókł...

Potem zgłuchło. — Spojrzałem na konający ogień, na płaszczytnie rozdarte i w tę czarną noc: i skowyt serce zdjął...

Przecucie, Wizja,  
Szczęście, Pozycja  
społeczna, Sprawiedliwość,  
Prorok, Przekleństwo

<sup>13</sup>na co (daw.) — po co, w jakim celu. [przypis edytorski]



Na świecie weselił się skąpany w czerwieni zachodzącego słońca pogodny, jesienny odwieczarz. Krwawe pasma światła wytryskiwały spod ziemi pławiącej się na krańcach nieboskłonu, by rozkociwszy się purpurową falą po zadumanych lewadach, łęgach, sianożęciach, bluznąć posoką w przycichłe lasy. Ze świeżo skoszonych otawisk wynikały wonie mocne a słodkie, z późnych potrawów szedł smętny głos ligawki<sup>14</sup>. Tu i tam turlikały dzwonki niewidzialnych cielic. Po łąkach rozsiadły się stogi siana, poprzekrzywiały nastrożone czapy sterty, spodem rozścieliły rządkiem pokosy.

Zaogniona tarcza staczała się coraz niżej, brocząc coraz silniej. Była chwila, kiedy się ten fatalny zjazd pod ziemię zatrzymał: słońce jakby zawahało, zachwiało — wszystkie swe twórcze siły skupiło i, obrzucając żalobny świat szkarłatnym przepychem rozbłysło ostatkiem mocy ciepłej, błogosławionej. Była to uczta przedśmiertna, szalona orgia zamierającego życia, wysilek wspaniały, królewski. Objęło gorącym spojrzeniem czerniejące zwartym walem na wschodzie bory, wilgotne rosą wieczorną pola, pastwiska, zapaliło ogień w wieżycze kościółka, zagrało smutno na twarzy włóczęgi-obłąkańca.. i poczęło dokonywać drogi...

Byłem pod nieznaną mi wioską. Bezwładnie, ze zwieszoną głową przeszedłem pod Męką Pańską nachyloną nad gościńcem u wejścia do siola. Tuż pod krzyżem wila się szarym skrzętem samotna ścież; odbiegła szosy i pruć wąską krajką darń wygonu. Wstąpiłem na koleinę z niewytłumaczoną ciekawością, dokąd też zawiedzie. Żelazna zaduma zagnieździła mi się w duszy, że nie byłem zdolny patrzeć na cudny wieczór, tylko z uparciem wbitym wzrokiem w szarzącą u mych stóp drożynę dążyłem przed siebie bez celu. A ścieżyna to biegła przed się prosto, to kluczyła na prawo, na lewo, w zygzak, znów wyprężyła się pod linię i biegała, biegała bez końca. Kiedy nagle podniosłem głowę, miałem o parę kroków przed sobą parkan jakiegoś wielkiego ogrodu czy parku.

„A, tak — pomyślałem — widocznie okrążyłem go po drodze i teraz zaszedłem z tyłu”.

Domysł mój sprawdził się, gdy po chwili spostrzegłem w parkanie małą furtkę. Była lekko odchylona. Pchany niepojętą siłą otworzyłem ją na oścież: stare, rdzą przeżarte zawiasy zgryzły sucho, zgryźliwie... Wszedłem do wnętrza. Uczucia, które wtedy wstrząsnęło posadami mej duszy, nie zapomnę nigdy. Rzecz szczególna: miejsce to wydało mi się znajome, nawet bardzo dobrze, choć byłbym przysiągł, że je pierwszy raz w życiu widzę. A przecież... Było w tym wszystkim coś więcej: oto po prostu czułem się u siebie, tj. właściwie na miejscu: znalazłem. Ale co, z tego sam sobie sprawy zdać nie umiałem. Równocześnie gwałtowny niepokój, który mnie już od miesiąca trawił, ustał nagle. Natomiast ogarnęły mnie pewnego rodzaju chłód i zawziętość. Czasem tylko na mgnienie łyskawicy przebiegał skrzepłą skorupę strach, że sztywniałem mrozem ścięty. Lecz i to wkrótce mijało, i byłem znowu przeraźliwie spokojny.

Stałem w pośrodku ślicznego ogrodu. O jakich dwadzieścia kroków lśnił złotem, opalem, skrzył się tęczowym blaskiem modry staw. Właśnie ukośne zrzuty promieni zachodu, przeszywając gęstwę drzew, spływały na ciche wody; od tych ogni zajęły się grzbiety fal i migotały skrwawionymi grzywami. Czasem ryba prysła złotą łuską, rozbryzgując wodę w świetlane krople: powstawała stubarwna otęcz, igrała w słońcu przedziwnie i promienną kaskadą wracała w macierzyste łóżę. Rozkoszne dreszcze marszczyły gładką powierzchnię i biegly wątlymi bruzdami do brzegów, skąd odbite, złamane rozsnuwały drgające otocze pian; te padały białymi błamami na nadbrzeżną murawę lub śliniły dłoniaste liści grzybieni. Wieczorny wiatr przeginał z wdzięczną lubieżą szypuły rokitnicy, która, chybocząc się, rozłożystym ruchem odsłaniała las bielejących spodem łodyg toczonych, bez skazy i węzłów. Od szuwarów szedł silny obrzask surowizny i mącił zmysły. Zasuta w sity łódka kołysała się niby tanecznicą na wpół pleśnią obciążniętych burtach. Za mocniejszym podrywem fal miotła się i biła z szelestem o badyle, usiłując wydobyć się na środek jeziora; lecz wtedy łańcuch przytwierdzony do steru, a drugim końcem do kółka u brzegu, rozpręzał zardzewiałe ogniwa, by po chwili, gdy wiatr się przyczaił, opaść z brzękiem na dno korabia. Gdzieś zapomniane wiosło wystawało z boku i wśród podskoków łodzi prało rozstępującą się wodę na spienioną miazgę.

Kępy grzybienia i lilii wodnych tułały się tu i owdzie zbłąkane, samotne.

<sup>14</sup>ligawka — fujarka; prosty, ludowy instrument dęty. [przypis edytorski]

Staw obiegał szeroki, piaskiem wysypany deptak, a dalej, w następującym z wolna cieniu nurzały się krępe jawory, lipy miodowym tchem wonne, leciwe, osędzieliną mchu otulone dęby-brodacze; pomiędzy krzami skrywała wstydliwie biały srom brzoza.

Z podcienia jesionów wychylał się zgrabnie z bierwion sosnowych sklecony chłodnik. Po poprzecznych kratkach pięło się dzikie wino z ciemnoczerwonym odcieniem liści.

Zaglądnąłem do środka: mały, dębowy stolik otoczony z trzech stron ławeczkami, na nim porzucona pełna smaku robótka, parę motewek atlasu, obok na ławce talerzyk z resztą ciastek, duża, czarnooka lalka w kącie; zapach perfumy w powietrzu czy z koronkowej chusteczki zapomnianej na stole.

Usiadłem znużony włóczęgą. Teraz dopiero zwróciła mą uwagę ukryta pod stosem nitek jedwabiu książeczka. Otwieram: pamiętnik, pismo drobne, kobiece, ostatnia kartka świeżo zapelniona...

„...mój Boże! Jaki też ten Stach kochany, lepszy nawet niż przypuszczałam niegdyś... Jutro jedziemy do... do... zgadnijcie!... Nie wiecie? To powiem: daleko, daleko, bo aż do Neapolu — do kąpiel. Zobaczę morze. Morze wielkie, straszne, piękne. Jedziemy na całe długie trzy miesiące. Ciocia Zdzisia była tam przed rokiem i powiada, że pobyt śliczny, upajający. Pocziwy Stach! On to wszystko dla mnie robi. Mówi wprawdzie, że mu wyjazd konieczne potrzebny dla zdrowia, ale ja już to wiem... Biedak tak się w ostatnich czasach namęczył... Lecz dziaduś obiecał przyjść z pomocą. Nieoceniony dziaduś! — Podobno jednak najbardziej z nas wszystkich uradowana Lutka. Gdy jej pierwszy raz powiedziałam, że wybieramy się nad morze, dziecina podniosła na mnie słodkie oczęta z zapytaniem, co to takiego morze.

— Widzisz, Luta, taka duża, duża woda, sto razy taka jak nasz stawek.

Klasnęła z radości w rączęta i odtąd już całymi dniami szczebiotała o morzu. Bo muszę tu wspomnieć, że moja córeczka bardzo lubi nasz staw i łódkowanie. Nieraz Stach w chwilach wolnych, gdy go już przestaną nachodzić ci niezdolni chorzy, siada z nami na łódkę i wiosłuje; mała z wielką uwagą przypatruje się ruchom wiosła lub też poważnie zadaje najdziwniejsze pytania...

Proszę mi wybaczyć bezładność, lecz te przygotowania blisko od miesiąca i gorączka spodziewanych wrażeń rozprężyły mi do reszty panowanie nad nerwami. I tak może będę musiała przerwać pisanie na czas dłuższy. Prawdopodobnie nie zechce mi się zbierać myśli na riwierzę, jak mówią „jasny brzeg” rozluźnia energię, sprowadzając omdlałą bezwładność. Mój Boże! Czemużbym się jej nie miała oddać — to tak słodko omdlewać... w ramionach Stacha...”

Chwyciłem za ołówek, którym to miejsce było założone i dopisałem niemal odruchowo: „Koniec”, a obok położyłem krzyżyk. Następnie wyszedłem z altany.

U wejścia krwawy blask uderzył mi w oczy: słońce zważyło się nad poziomem. Śpiesznie posunąłem się deptakiem.

Z tej strony grunt wchodził w staw ostrym dzióbem, tworząc trójkątną wystawę. Przylądek był skalisty, obrosły miejscami mchem i pleśnią. Z płaskiego szczytu na jednakim poziomie z resztą ogrodu i chodnikiem spadał modrymi warkoczami powój, opinał się po zboczach bluszcz, zwisając tuż nad wodą. Stok łagodniejszy z prawej wypuścił przez szczelinę krzak tarniny; dziki urok krzewu występował przedziwnie na szarym tle opoki. Cały przylądek robił wrażenie wypatrzalni. Nad samym krajem, zapewne dla wygodnego oparcia się, umieszczono żelazne balaski; były już stare i zjedzone rdzą, na pozór jednak trzymały silnie. Wstąpiwszy tu, oparłem się o nie plecami, by ogarnąć wzrokiem pyszny widok dalszej partii ogrodowej. Nagle uczułem zdradliwe trzeszczenie prętów; przestałem się opierać i obejrzałem je: cztery śrubki rozluźniły się zupełnie i groziły wymknięciem się prętów ze spojeń. Nie zakręcając gwintów, założyłem je wolno, po czym skierowałem się w aleję topól. U wylotu dopiero błyszczały pokrywami zachodu okna rozkosznej willi. Ostrożnie skradając się, dotarłem pod domostwo zakryty krzewami przekwitłego bzu.

I wtedy spotkałem się twarzą w twarz ze szczęściem ludzkim, oglądałem je w jego dumnej krasie, promienne, widziałem je w całej bezwzględności, darzące szczodrą dłońią swych wybranych, zuchwałe, zwycięskie, bezczelne...

Na białym, kamiennym tarasie willi, zbiegającym w kilku stopniach ku ogrodowi widniało dwoje ludzi dwoje skończenie pięknych typów. Kobieta była jasnowłosa, o szafi-

Szczęście



rowych, mokrych oczach; rysy Madonny subtelne, pełne wyrafinowanego piękna świadczyły, że na nie musiały się złożyć całe wieki kultury i doboru. Kągła pierś wzdymała się niewymowną rozkoszą, oczy oszalałe miłością tonęły w źrenicach nachylonego nad nią mężczyzny.... A na ten szal miłosnego zapamiętania lał złociste strugi konający dzień...

I tak stali wśród orgii światła i żaru piękni, szczęśliwi, jak bogi...

On szeptał jakieś namiętne, palące słowa, co krew żąda burzą, w zmysłach pożogę niecą niesytą, pragnącą... Skłonił się niżej... ku ustom... poznałem doktora...

Dziecięcy śmiech zadzwonił z wnętrza i zaraz potem ukazała się w oszklonych drzwiach werandy śliczna, kilkoletnia dziewczynka prowadzona za rękę przez sędziwego sługę. Mała podbiegła, tuląc się do rodziców, podczas gdy służący, przystąpiwszy do pana domu, zamienił z nim parę słów. Doktor słuchał niechętnie i z widocznym roztargnieniem, wreszcie jednak, ociągając się, pożegnał skinieniem ręki żonę i córkę, po czym zniknął wraz z służącym w drzwiach domu.

Pani jakiś czas jeszcze wahała się z przymkniętymi oczyma w wygodnym bujaku, jakby przeżywając powtórnie rozkosz niedawnych pieszczot, następnie, ująwszy rączkę córeczki, poczęła zstępować z tarasu włąb ogrodu. Na ostatnim stopniu niby zastanowiła się; trwało to przecież tylko chwilkę i wkrótce posuwały się matka i córka aleją topolową, pogodnie i pięknie ciszą wieczora. Jakaś nadziemską, anielską błogość jaśniała na twarzy kobiety rozkwitłej pełnią młodzieńczej urody, na licu dziecka, co napawało urokiem przyszłego czaru. Przeszły wzdłuż aleję i wstąpiły na deptak. Co parę kroków przystawała matka, pozwalając małej zrywać kwiaty bujnie rozrzucone na przepysznych klombach. Sama uszczknęła białą lilię i wpięła we włosy. Tak doszły do przyłódka: matka chciała iść dalej, nie zmieniając kierunku, lecz dziewczynka upierała się, ciągnąc za rękę ku skalistej wystawie. Ulegając kapryswi dziecka, zbliżyła się ku balaskom...

Czułem, jak krew uderzyła mi legionem wściekłych młotów i kuła w skroniach. Stały tuż przy fatalnych prętach. Kobieta wzięła dziecko na ręce; wiotka jej postać czerniła się wyraźnie na tle mieniącego opalami stawu... wiatr wieczorny igrał w rozwianych włosach... Mała od jakiegoś czasu wpatrzona pilnie w jeden punkt na wodzie... wyciągnęła rączki:

— Mamo! Patrz... tam!...

Matka opiera się o balaski, przechyla... silniej, mocniej... suchy, rdzawy zgrzyt... sekunda wahania się, chwiejby, po czym krótki, urwany krzyk z dwóch piersi i... ciężki pluskot spadających ciał...

W tej chwili ukazał się na tarasie doktor. Spojrzał na staw: po toni włócił się długi, płowy włos... a obok raz mignęła jasna główka Lutki... potem wszystko znikło. Tylko głęboki lej wodny począł się skwapliwie zapełniać... wreszcie toń zawarła się, wygładziła i była wzdęta jak pierwej.

Wysunąłem się z krzewów bzu i stanąłem na środku alei oświetlony krwawo zorzą zachodu i spojrzałem na taras. Spostrzegł mnie... zajrzeliśmy sobie w oczy: długo, przeciągle... po czasie zwiesił ponuro głowę na piersi. Wtedy zanurzyłem się w mroki wieczora....

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-z-wyjatkow-w-pomrokach-wiary-puszczyk>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żalny, Z wyjątków. W pomrokach wiary, Drukarnia „Narodowa”, Lwów [1909].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Katarzyna Czech, Paulina Choromańska.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.